

Kronika tygodniowa.

Załatwiwszy się w poprzedniej kronice ze szkołami, choć jeszcze nie tak, jak chciałem, gdyż na przeszkodzie stanął mi brak miejsca, dziś zabieram się do polityki, aby ktoś nie narzekał, że tą dziedzinę traktuję po macoszu, gdy ja dla wszystkich radbym być ojcem lub matką.

Zanim jednak do tego przystąpię, kilka słów radbym poświęcić pogodzie, już choćby tylko dlatego, aby się pochwalić, że miałem rację, przypuszczając i zapowiadając, że pierwsza polska jesień, na złość wszystkim naszym wrogom, musi być i długa i piękna.

Jak dotąd, jest tak, jak będzie później, dopiero się z dalszego ciągu przekonamy.

Ja więc, choć meteorologiem nie jestem, nie pomyliłem się bynajmniej, teraz kolej na górali, aby i oni dowiedli swej nieomyślności, choćby tylko w kwestii pogody i temperatury. Jeden z mych znajomych, który, lubo nie jest paskarzem, może sobie na to pozwolić, aby lato spędzić w Zakopanem, wróciwszy stamtąd, opowiadał wszem wobec i każdemu z osobna, że górale zapowiadają, iż tego roku nie będzie zimy, a wnoszą to z braku grzybów, choć deszczu było aż zadużo. Ponieważ zaś góralskie przepowiednie, o ile one odnoszą się do pogody lub temperatury, przynajmniej dawniej lubiły się spełniać, mam nadzieję, że i w tym wypadku będzie tak, jak orzekł i że nam w zimowym czasie nie grozi śmierć z zamrznięcia.

Najgorzej jednak, że dowiedział się o tem i magistrat, który wobec tego wstrzymał wydawanie kar tek na węgle, bo i cóż komu po nich, skoro zimy nie będzie?... Buro węglowe ma dla zgłaszających się stereotypową odpowiedź:

— Tego roku zimy nie będzie!... Tak przepowiedzieli górale, a oni się nigdy nie mylą!... Wobec tego proszę się zgłosić w roku przyszłym.

— A jeśli w międzyczasie zamrznie na śmierć? — pyta interesowany.

— Hm!... W takim razie sam pan sobie będzie musiał przypisać winę!... Ale niech pan tego głupstwa nie robi, bo to i chorować się nie opłaci, a cóż dopiero umierać!

Spodziewamy się więc, że i bez węgla będzie nam ciepło, a czy się nie mylimy, to dopiero przyszłość pokaże. W każdym razie byłoby bardzo pożądanem, aby góraliska nieomyślność wyszła z tej próby bez szwanka.

Korzystając z pogody, która przecieł od czasu do czasu była przerywana deszczem, aby oszczędzić magistratowi kosztów skrapiania ulic, bardzo liczne rzesze pobożnych i spragnionych sielanki wybrały się na doroczny odpust do Mogiły, rozpoczynający się w dniu 14. września, a trwający ośm dni.

Zwłaszcza w obie niedziele, 14. i 21. września, pogoda była po prostu wymarzona i gdyby nie to, że dziś wycieczka każda połączona jest z nadmiernymi kosztami, na co nie każdy może sobie pozwolić, z pewnością byłoby w Mogiłę tego roku dwa razy więcej pątników, niż po inne lata.

Tradycja starego Krakowa powiada, że pierwszą wycieczkę w roku urządza się w drugie święto Wielkiejnocy (Emaus) na Sikornik, potem idzie kolej na Skalkę, Bielany, Tyniec (uroczystość św. Piotra i Pawła), w sierpniu dla pobożniejszych Kalwaryja, we wrześniu Mogiła, kończy zaś wybranie się na cmentarz rakowicki, ale nie karawanem, lecz piechotą lub tramwajem (choć tam jeszcze nie dochodzi) w dzień Zaduszny.

Zwłaszcza Bielany i Mogiła cieszyły się zawsze nadzwyczajną frekwencją. Forkami, drożkami i piechotą wybrały się całe rodziny, zaopatrzone w odpowiedni prowiant stały i płynny, a świeże powietrze miało się zupełnie *gratis* na miejscu. Ale też wówczas wypchać kosz różnymi specjami, to nie była żadna sztuka, a drożka na całe popołudnie kosztowała za ledwie płatkę. Raz lub dwa razy w roku można się było szarpnąć na podobny wydatek, zwłaszcza, że on się i opłacił nieraz, gdyż tutaj, na łonie przyrody, robiło się i znajomości, co było pożądanem zwłaszcza dla rodzin, mających córki na wydanu.

Szklanką herbaty i kromką chleba z masłem i zimną pieczoną, czasem ndkiem niewinnego kurczaka, zdo- bywało się serce młodzieńca i kojarzyło nieraz i bardzo szczęśliwe stała małżeńskie.

Dziś jednak zmieniły się czasy, a z nimi i ludzie. Dzisiejszemu pokoleniu młodemu nie wystarczy Mogiła, ono woli Esplanadę, lub bodaj... kino.

Ale i do Mogiły wybrać się dziś nie tak łatwo, choć kolej żelazna prowadzi na na samo miejsce, nie mówiąc już o drożce, za którą trzeba zapłacić trzysta koron, lub podróżną piechotą, nie wskazanej bynajmniej ze względu na drożyznę obuwia.

Bo i jak się ta wybrać, choć jest jeszcze ten sam

kosz, z którym takie miłe się włączyć wspomnienia!... Ile razy odył on drogę z Krakowa na Bielany, lub do Mogiły!... W tamtą stronę jechał dumny, wiedząc, że od niego zależy dobra zabawa, wracał zadowolony, że wywiązał się należycie ze swego zadania. Był też okiem w głowie całej rodziny, poządlwie nań spoglądali znajomi i przyjaciele, którzy zerwali z tradycją i przyjechali bez zapasów, wierząc, że nie zamaria w społeczeństwie naszym staropolska cnota gościnności.

Kosz więc jest, ale co w nim ulokować?... Oto kwestya, którą trudniej rozwiązać, niż problem *perpetuum mobile*, lub kwadraturę koła!... A żołądek, zwłaszcza na świeżem powietrzu, upomina się o swe prawa i powiada cicho a dyskretnie:

— Pokrzepiłeś swego pobożnego ducha, teraz pamiętaj i o mnie, który dbam o zdrowie tego fateratu, mającego być skłzibą ducha!

I ten brak treści, którą można byłoby wypełnić obszernie wnętrze kosza, stał się przyczyną, że trzeba było zrezygnować z pobożnego przedsięwzięcia i zostać w Krakowie. Bo to nie żarty co się tam zmieszcza!... O tem może powiedzieć każda skrzętna gospodyni.

Według pobożnych obliczeń, w dzisiejszych czasach taka wycieczka do Mogiły mogłaby kosztować co najmniej ze dwa tysiące pięćset koron, a na to nie pozwala siła finansowa poszczególnych rodzin.

Wspominało się więc dawne czasy i zastanawiało nad tem, czy danem nam będzie jeszcze przed śmiercią wybrać się w pielgrzymkę do Mogiły, ale tylko z należycie wyładowanym koszem, by mieć czem pokrzepić mdłe ciało, wyczerpane tudami podróży.

W związku z pogodą, (d której zacząłem, a częściowo i polityką, do której przejsię zamierzam (jeśli nie w tym numerze, to bodaj w następnym...), jest kwestya rachuby czasu. Jak dotąd, mamy czas letni, wcześniejszy o godzinę od środkowo-europejskiego, więc potępiany przez tych, którzy lubią się długo wylegiwać.

Wczesne wstawanie jest wprawdzie godnem polecenia już choćby tylko ze względu na przysłowie: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje“... ale bynajmniej nie przyczynia się do zaoszczędzenia gazu lub elektryki. Idzie się wprawdzie spać o godzinę wcześniej, ale też wstaje się wcześniej i jeśli się ma coś rano załatwić, musi się to uczynić przy sztucznem świetle, bo naturalne nie wystarcza. O oszczędności niema więc mowy, o wygodzie także, zwłaszcza, jeżeli się chce zjeść śniadanie przed wyjściem z domu.

Wolają więc jedni, aby jak najrychlej zaprowadzić dawny czas środkowo-europejski, łączący nas z kul naturalnym Zachodem, gdy natomiast inni, u najęcy, że nasza ekspansja powinna iść na Wschód, są zdania, że powinniśmy zostać raczej na stałe przy letnim, którym się posługują państwa wschodnie. A zbliżenie się do nich, leży w naszym dobrze zrozumianym interesie.

Nie mamy granic, nie mamy konstytucji, nie mamy też i czasu (bez którego zresztą łatwo się obejść, jak twierdzą ci, którzy nie mają zegarka...)

Ale i granice będą i konstytucja będzie, więc można się postarać i o czas.

Ponieważ spór o rachubę czasu włada dwa obezy, znalazł się wnet i trzeci, chcący je pogodzić. Tworzą go polscy astronomowie, którzy oświadczyli, że Polska może się zdobyć na swój własny czas, obliczony według południka, przechodzącego akurat przez sam Przeworsk, co przyczyniłoby się do podniesienia znaczenia tego miasta, o którym wiedziliśmy dotąd, że ma fabrykę cukru, ale w stanie spoczynku, a leży niedaleko Łańcuta, gdzie popełniono milionową defraudację spirytusową na szkodę skarbu państwa polskiego.

Mamy więc stolicę Polski w Warszawie, była stolicą w Krakowie, letnią w Zakopanem, przybyłaby nowa, nazwana już „zegarową“ w Przeworsku.

I myślałby kto może, że to sprawa łatwa do przeprowadzenia?... Bracia Boże!

Zaraz sąsiad Łańcut zawła:

— A cóż ja to jestem gorszego, że wybrano sobie południk przeworski?... O Przeworsku nikt nie słyszał, a łańcutkie widać znane były w całym świecie!... Choć wyrabiał je hrabia, cieszyły się one ogromnymi względami zwłaszcza demokratów!

To samo powtarza Jarosław, Rzeszów, Przemyśl, Mielec, Kolbuszowa, Tarnobrzeg, Nisko, Rozwadow... Każde z nich gotowe bezinteresownie oddać swój południk na usługi społeczeństwu, byle tylko mówiono o nim, jak dotąd o Ferro, Greenwich, Paryżu... Astronomowie powiadają wprawdzie, że nie każdy południk nadaje się do tego celu, co jednak nie jest w stanie przekonać pana burmistrza z jakiej Piłpódki, utrzymującego:

— Trzeba tylko chcieć!... Niech kszuje, co chce, ale niech będzie nasz południk!... Ja tam człowiek stary daty i wiem, że, jak się da, to się zrobi!... A od dania, to już jestem ja!...

Powstały u nas różne wojenne instytucje, między innymi i *Zakład obrotu ziemią*, mający jakiś związek z reformą agrarną. Ponieważ na razie nie ma on nie

jeszcze do roboty, albo bardzo mało, mógłby się zająć reformą rachuby czasu, zależnego, jak wiadomo, od obrotu ziemi. Klóćmy się o wszystko, pogódlmy się bodaj w kwestyi zegarowej i niechaj sobie będzie i czas przeworski, byle był i nie sprawiał nam tylu kłopotu, co przeworski cukier, dlatego właśnie, że powinien być, a tymczasem go niema!

Kronikarz w astronomia się nie bawi, czego dowodem, że nawet na gwiazdkach wojskowych wyznać się dziś nie umie, nie mówiąc już o tych, które bliższą na niebie. W kwestyi zegarowej nie zabiera też decydującego głosu, zwłaszcza, że czasomierza nie posiada. Jeśli kto z P. T. Czytelników chciał go obdarzyć zegarkiem, zupełnie mu wszystko jedno, czy będzie uregulowany po zachodnio-europejsku, czy po wschodnio, czy też według przeworskiego południka — przyjmie go z wdzięcznością, która będzie tem większą, im zegarek będzie bardziej wartościowy.

W każdym razie byłoby bardzo pięknie, gdybyśmy posiadali swój własny czas, niechajby nawet taki, aby północ wypadła w południe, a południe o północy... I do takiej rachuby czasu można się przystawiać, zwłaszcza, że bardzo wielu ludzi urząda się w ten sposób, iż spią w dzień, a życie zaczynają dopiero w nocy, gdzieś po godzinie ósmastej według południka... przeworskiego.

O ile sprawa rachuby czasu zostanie definitywnie rozstrzygnięta, byłoby wskazaniem, aby Rząd zaopatrzył wszystkich obywateli w zegarki, odpowiednio uregulowane, co się przyczyni do załatwienia sprawy w sposób bardzo krótki i praktyczny. Co zaś najważniejsze, zgodzą się z pewnością na to wszystkie stronnictwa.

Sejm warszawski pewnie też załatwi sprawę zegarową w tym duchu.

Sprawę rozstrzygnęło już wprawdzie rozporządzenie ministerialne z 16 września b. r., ogłoszone onegdaj w *Monitorze polskim*, a zaprowadzające w całej Polsce na stałe czas letni, co ma zapobiec także brakowi węgla. Jakże bowiem narzekać na zimno, jeśli czas jest letni?

Zwolennicy czasu środkowo-europejskiego i przeworskiego, będą mogli wniesić w Sejmie odpowiednie interpelacje i nagie wnioski. Przy tej sposobności może ktoś poruszyć i kwestyę zaopatrzenia najszerzych mas w zegarki, aby każdy mógł w myśl rozporządzenia ministerialnego posunąć wskazówki na swym własnym chronometrze.

Rachuba czasu z polityką ma więc tylko bardzo luźny związek, ale w każdym razie ma go, może więc stanowić przejście od pogody do polityki, choć na nią zbyt wiele nie zostało miejsca.

Im jej jednak mniej, tem lepiej, bo nie trzeba się niepotrzebnie lrytować, a gniew szkodzi nie tylko piękności, ale źle wpływa i na zdrowie. Zresztą polityki ma każdy dość w plamach codziennych, kronikarz tygodniowy mógłby zupełnie spokojnie przejść nad nią do porządku dziennego.

Ale, słowo się stało!...

Najważniejszym zdarzeniem politycznym z ostatniego tygodnia był odjazd amerykańsko-żydowskiej misji senatora Morgenthaua, który na czas „Trabek“ udał się do Paryża, a stamtąd wrócił do Ameryki i zjawienie się nowej misji, tym razem angielsko-żydowskiej, pod kierownictwem pana Eliasza Samuela.

Pana tego nie mam przyjemności znać i dlatego nie wiem jak się właściwie nazywa. Jedni piszą Samuel drudzy Samuels, inni znówu Samuely, wszyscy jednak zgadzają się na to, że jest z zawodu bankierem, a był członkiem angielskiego parlamentu skąd go jednak „wylano“, udowodniwszy mu korupcję, co kate żywili nadzieję, że zabierze się bezstronnie do zbadania sprawy żydowskiej w Polsce z angielskiego punktu widzenia. Jest to podobno wzór pobożności. Jada tylko kosztowne potrawy, w sobotę chodził piechotą, w rodzinie jego nikt dotąd nie popełnił mezalianasu. Syonisci spodziewają się też, że energicznie zabierze się do dzieła i stwierdzi, jak oni tutaj muszą cierpieć.

Poważne p'sna angielskie, jak *Morning Post* twierdzą zupełnie słusznie, że wysłanie podobnych misji do Polski jest tylko niepotrzebną prowokacją, zupełnie taką, jaką byłoby wysłanie murzyna do Szwabów Zjednoczonych, aby zbadał położenie tamtejszych współbraci, a my dodamy... lub Irlandczyka do Anglii, a Hindusa do Indyi... Wybraliśmy sobie, jakiego gwałtu narobiłby wówczas Amerykanie i Anglicy.

Ala w polityce na przyzwoitość nikt nie zważa, Polacy zaś znani są z tego, że pierwszemu lepszemu przybłądzie pozwalają wtaczać się w swoje domowe sprawy i jeszcze go do tego honorują, choć raczej należałoby go z miejsca napędzić na cztery wiatry.

Morgenthan podobno pochwałił nas za ład i porządek, jakiego się w Polsce nie spodziewał znaleźć. Co powie pan Samuel, nie wiadomo, ale to pewne, że przyjechał, aby szukać dziury na całym.